

Kronika

tygodniowa

Czasem powie się coś lub napisze w złą godzinę. Tak było widocznie i z tą kroniką, w której była wzmianka o pękaniu rur wodociagowych, jako objaw irytacji, że Krakowianie czasem, gdy im się pić chce, a wodociąg tylko dmucha, biorą je na kawał.

I aptynał zaledwie tydzień, pękła znów jedna z najgrubszych rur magistralskich (o u nas z zasady tylko takie pękają...) i naraziła Kraków na czterdziestogodzinne pragnienie, gospodyniom zaś przysporzyła tyle kłopotu, iż niejedna z nich tyczyła w duchu, aby ten, kto wodociąg wymyślił, z piekła nie wyjrzał, a, gdy mu się tam pić zachce, miał przed sobą kurek wodociągu, z którego jednak nie kapie, lecz wydobywają się jakieś dziwne głosy, niczem potępieńców, smażących się w ogniu piekielnym.

Czy ta rura pękła w samej rzeczy z irytacji, czy też z innego jakiego powodu, w to nie wchodzimy, konstatując jedynie fakt, że pękła i pozbawiła wody cały Kraków. Kto ma bujną fantazję, mógłby owo pęknięcie zaliczyć do seryi niespodzianek kwietniowych, o których w poprzedniej kronice była mowa. W gruncie rzeczy nie jest to niespodzianka, gdzie powtarza się to aż nazbyt często i stwierdza za każdym razem, że pod względem zaopatrzenia we wodę Kraków stoi daleko w tyle poza Kłajem i Kulikowem, gdyż wprawdzie wodociąg brak, są za to studnie i z powodu pragnienia nikt tam dotąd nie umarł. Mamy wprawdzie wodociąg, który nie tylko dostarcza czasem wody, ale apriyjemnia nam także czas muzyką, co jednak z tego, zbyt często on zawodzi, a nie pomyślano o tem, aby na wszelki wypadek zapewnić sobie rezerwy wodowe, czy to pod postacią dodatkowego wodociągu, czy też studni. Gdy swojego czasu zaprowadzono w Krakowie wodociąg, wypowiedziano studniom walkę na śmierć i życie. W każdej z nich znalazł fizyk potwory, zdrowiu mieszkańców szkodliwe, zasypywał je też jedną po drugiej. Dziś dopiero widzi się, że się zrobiło kolosalne głupstwo, ale ojcowie miasta pocieszają się tem, że nie było ono pierwsze, nie będzie też i ostatnie. Dzięki ówczesnemu panu fizykowi, który wtedy odegrał rolę Don Kiszota, walczącego z wiatrakami, jest dziś Kraków w razie pęknięcia rury zdany na łaskę losu. Bo i czem w danym wypadku gasić ogień, który może, nie robiąc sobie nic z pęknięciem rury, akurat w tym czasie wybuchać? Jest wprawdzie Wisła, ale dostęp do niej trudny, ponadto miasto, mając wodociąg, nie rozporządza odpowiednią liczbą beczkownic i potrzebnego do ich obsługi zaprzęgu i personelu.

Z pragnieniem, które w czasie braku wody dokuca szerszym i większym sferom, nikt się nie liczy. Komu się zechce pić, może bardzo łatwo ugasić pragnienie piwem. Ale chyba trudno w piwie myć się lub kąpać. Byłoby to przedewszystkiem połączone z ogromnymi kosztami (szkoda zresztą marnować piwo, które się da wypić... przyp. zecera), poza tem mogłoby narazić na wejście w konflikt z ustawą, gdyby się tak pokazało, że ktoś w niedzielę lub święto niżył w tym celu piwa o zawartości więcej, niż dwa i pół procent alkoholu.

Spokojne zwykle nasze domy mieszczańskie, dzięki owej niedyspozycji wodociągu, spowodowanej pęknięciem rury, zmieniły się na te dwa dni w małe piekielka. Kłó pan domu, że wody niema, że trzeba było się domyśleć, iż rura pęknie i porobić zawczasu zapasy (gdy się je zaś robi, kłnie też, że się wodę maruje...), pomstowała pani i służąca, przypominająca sobie owe dawne minione chwile, gdy się szło z konewką do studni i tam zabawiło się pół godziny miłą rozmową z koleżankami. Studnia była zatem w starym Krakowie rodzajem Kasyna domowego, w którym z wieka i urzędu przeserosowała stróżka, dziś nazywana „panią dozorczynią“.

Ba!... Kłóty owe i pomstowania nie pomagają i nie zaradzą brakowi wody, którą wprawdzie rozwodzi magistrat, ale w bardzo skąpej ilości i przedewszystkiem w te okolice, gdzie mieszkają ojcowie miasta. Tu i ówdzie udało się wprawdzie uratować studnię przed wandalizmem ówczesnego fizyka, jest ich przecież mało, a właściciele strzegą ich jak oka w głowie. W tych dniach każdy z nich bardziej się cieszył swą studnią niż całą kamienicą.

Praktyczni robią i na wodzie interesy, sprzedając ją potrzebną po cenach nie ograniczonych jakąś tam taryfą maksymalną, lecz ustanowionych wedle własnego uznania. Spragnieni ludziska płacą bardzo

chętnie, nawet ustawiają się w „ogonki wodne“, czekając cierpliwie na swą kolej.

Taką „niespodzianką“ wodociagową mamy kilka razy w roku. Na doprowadzenie wodociągu do porządku trzeba mniej więcej czterdziestu ośm godzin. Co jednak stałoby się, gdyby tak pewnego dnia rozgrymasła się Wisła i zmieniła swe koryto, wobec czego nasze wodonośne tereny w Śmierdziej, Cholezynie i t. d. osuszyłyby się nagłe?... Bo, że zachodzi tam jakiś związek przyczynowy, o tem wiemy dobrze, przypominając sobie z lat poprzednich, iż w czasie posuchy, gdy stan wody na Wiśle jest niski i wodociąg stale niedomaga, a magistrat zmusza do nawoływania do jej oszczędności.

W danym wypadku masłoby się prosić Wisłę, aby raczyła wrócić do starego koryta, ewentualnie przenieść za nią na inne miejsce Kraków wraz z jego wodociągiem. Czyż zatem nie jest od Krakowa stokroć szczęśliwszy Kłaj lub Kulików, nie będąc narażonym na podobne ewentualności. Braknie mu wody w jednej studni, znajdzie się druga, trzecia, a ludzie, choć ją piją, są daleko zdrowsi, niż my, którzy raczymy się „nakterem błędnym“ z miejskiego wodociągu. Co zaś najważniejsze nie mają powodu do niepotrzebnej irytacji.

Aby złemu zaradzić, należałoby zatem w najkrótszym czasie postarać się o to, aby:

1) postawić studnie, w których już owe potwory, zagrażające zdrowiu mieszkańców z pewnością wydręchały, ewentualnie nałożyć im na pyski kagańce oraz zaszczyć je jakimś *antidotum*, które naleszkodliwoby ugryzienie,

2) postarać się o dodatkowy wodociąg, który mógłby zastąpić kolegę w razie jego niedyspozycji, spowodowanej pęknięciem.

Kraków rozszerza się z dnem każdym, rośnie liczba mieszkańców, mających pragnienie, a nie mogących sobie pozwolić na gaszenie go piwem, a wy padałoby pomyśleć o tem na serio i to wtedy, gdy jest w mieście woda, a nie czekać, aż znów rura pęknie lub wodonośny teren w Cholezynie i Śmierdziej zupełnie wyschnie.

Bez jedzenia trudno się obejść, daleko jednak trudniej bez wody.

Jeżeli zatem pęknięcie rury wodociagowej uważać będziemy za kwietniową niespodziankę, musimy ją z natury rzeczy nazwać „mokrą“.

Drugą taką „mokrą“ niespodzianką kwietniową był deszcz, jakiego nam w ubiegłym tygodniu nie żałowały niebiosa, choć w tak zwanym „kalendarnu stu-letnim“ można było wyczytać, że możemy się w tym czasie spodziewać stałej pogody.

Cóż to bowiem jest „stuletni kalendarz“? Jest to sobie taki kalendarz, jak każdy inny, który podaje w którym dniu, który Święty lub Święta obchodzą imieniny, kiedy jest niedziela, w którą nie wolno zupełnie pracować, a kiedy dzień powszedni z ośmiogodzinną pracą, aby się nie zmęczyć. Poza tem znajdują się tam przepowiednie astronomiczne, z których wynika, że słońce wchodzi zwykle rano, a zachodzi wieczorem, oraz prognoza meteorologiczna, powtarzana dosłownie z roku na rok. Ponieważ w ciągu lat stu może się wydarzyć, że się ona raz spełni, dlatego ten kalendarz nazwano „stuletnim“. Kto robi stale zapiski meteorologiczne i porównuje je z kalendarzem, ten się może o tem bardzo łatwo przekonać.

Kalendarz „stuletni“ zapowiadał zatem pogodę, a deszcz tymczasem padał, prawdopodobnie w tym celu, aby udowodnić, że „kwiecień-płacień“, bo przepłata, trochę zimy, trochę lata“.

— Aby się dowiedzieć, czy ów deszczyk wiosenny jest potrzebny, czy nie, zasięgnął kronikarz fachowej opinii tych, którzy z deszczem mają coś wspólnego. Pokazało się przecież, że zdania są pod tym względem podzielone. Jeden z obywateli Krakowa oświadczył, że jest on dobrodziejstwem, gdyż aptacz śmieci i kurz, drugi natomiast narzekał, że to prawdziwa klęska dla ludzkości. A, celem wyjaśnienia, dołąć należy, że ten pierwszy, to radca miejski, który zasiada w komisji czyszczenia miasta, drugi zaś jest profesorem Uniwersytetu i ma z tego powodu podarte buty.

Dalej zainterpelowani w tej kwestii agraryusze, byli również rozmaitych zdań. Ten, który pokonywał już roboty w polu, utrzymywał, że ów deszczyk to złoto, drugi, który się nieco spóścił, był zdania wprost przeciwnego.

Pokazuje się zatem, że ludziom nigdy nie dogodzi, że z czego jeden się cieszy, drugi na to narzeka, mając do tego słuszne nieraz powody. W kwestyi, czy ów deszcz był potrzebny, czy nie, solidaryzuje się kronikarz w zupełności ze zdaniem onego profesora Uniwersytetu i to z tych samych co i on powodów. Podusza się tem jedynie, że w każdym razie lepszy deszcz, niż śnieg. Mokniemy, co prawda, ale przynajmniej nie marzniemy, ciesząc się, że wiosna już za pasem. Biedacy już podobno przyłeczali, tu i ówdzie

pokazała się nawet i młoda rzodkiewka, specjał, kosztujący dawniej dwa centy, dziś dostępny jedynie dla wojennych milionerów.

Choć się zatem, jak z tego widać, wiosna zbliża, nie wszystkim jest wesoło. W ich położenie wszedł też litościwy magistrat, który jako władza aprowizacyjna, ogłosił światu „słodką tajemnicę“, to jest, iż sprzedaż cukru na luty i marzec kończy się wraz z końcem miesiąca kwietnia, spodziewać się zatem należy, że, o ile nadejdzie transport świeżego, będzie sobie można już w maju osłodzić nim kwietniowe gorzko. Oszczędność w tym kierunku jest bardzo chwalebna.

Gdybyśmy otrzymywali regularnie przydziały cukrowe, byłoby już po nich, a tak możemy się cieszyć, że mamy „zapasy“, choć nie bardzo pewne, ale w każdym razie krzepiące ducha i pozwalające żyć nadzieją, że kiedyś będzie nam przecież słodko.

Skoro już mowa o niespodziankach, to musi się kronikarz przyznać, że była dlań prawdziwą niespodzianką notatka, jaką znalazł w jednym z pism codziennych, iż w pewnej krakowskiej restauracji poplunę się się chór ukraiński, bardzo gorąco oklaskiwany przez publiczność...

Czy myślał kto, że z czemś podobnem można się spotkać w Krakowie i to niespełna w dwa lata po smutnych przejściach we wschodniej Małopolsce, gdzie tak obficie lała się polska krew i rozbrzmiewały chóry... jęków i płaczu braci naszych, mordowanych prześladowanych przez ukraińskiego ciemięzcę... Nie przeczymy, że małopolskie śpiewki są bardzo melodyjne, ale produkowanie się niemi w Krakowie i w tych warunkach, jakie dotąd między oboma narodami panują, uważamy za nietakt, a nawet prowokację. Dziwić się należy naszej prawdziwie baraniej potulności i wyobrazić sobie, jak „gorąco“ przyjęto polski chór, gdyby się zjawił w okolicy, zamieszkałej przez rżnianych hajdamaków, którzy stale, razem z swymi Szop-tyckimi i Petruszewiczami na czele, zaprzysięgli zagładę wszystkiemu, co polskie.

Polacy, to naród rycerski, to „Francuzi północy“, ale na świecie musi mieć wszystko swe granice a miar-ka może się z czasem przebrać. Jeżeli Krakowianie chcą się raczyć śpiewem, czy mało mają swoich, polskich towarzystw śpiewackich, które mogą im zanieść i małopolskie melodie, jeżeli bez nich komuś obejść się tak trudno...

Dopóki stosunek nasz do sąsiadów od Wschodu nie będzie uregulowany, niema miejsca w Krakowie dla ukraińskiego chóru... Ładnie wyglądałby niemiecki chór, gdyby się tak pokazał w Paryżu. Z pewnością prasa francuska nie reklamowałaby go ani słowem.

Niech nas nie indzi, że w Tarnowie rezyduje tymczasowo rząd republiki ukraińskiej z Petlurą na czele, że zatem zupełna zgoda między nami i miłością, jak na braci przystało.

Zbyt dotkliwie popatrzyliśmy się na gorącym, rozsądek zatem każe dmuchać nawet i na zimne. Z tej strony spotkamy się z niejedną jeszcze gorzką pigułką, którą nam przyjdzie połknąć, a nie znajdziemy wtedy nikogo, przed kim możnaby się użalić.

Możemy być na to przygotowani, że niech tylko powieją dla nich pomysliniejsze wiatry, wystąpią zupełnie otwarcie przeciw nam, a, kto wie, czy za jakie lat dziesięć lub dwadzieścia nie ułowodni któryś z „ukraińskich historyków“, że cała była Galicya jest rdzenną częścią Ukrainy, a na poparcie swych twierdzeń poda, iż w r. 1920 i 1921 był Tarnów stolicą Ukrainy zachodniej, jest to zatem miasto ukraińskie, nie polskie. W Berlinie i Wiedniu zaraz znajdą się usłużali przyjaciele, którzy poprą sprawę tak wymownie, że się obejdzie nawet bez plebiscytu.

Kto ma zatem pieniądze, czas i ochotę, niech ciesz się swoimi melodiami ukraińskimi! serce niech mu jednak przypomni to, co się niespełnia dwa lata temu działo w byłej Galicyi Wschodniej, która po prostu spłynęła krwią polskich męczenników, a wydarzenia w Złoczowie, obóz jeńców na Kosaczowie pod Kołomyją i podobne, nie zbliżyły chyba do siebie obu narodów, owszem pogłębiły jeszcze przepaść między nimi. Nie wyróżnia już zaś nawet najmelodijniejszy śpiew w kabarecie, choćby był i najgoręcej oklaskiwany przez polską publiczność.

